GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1931

NR. 16 ROK I

CENA NUMERU 90 GR. PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

KOMITET REDAKCYJNY: MARJAN DROZDOWSKI, ALEKSANDER K. IVANKA, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI redaktor

DWA TYGODNIE

PRELIMINARZ BUDŻETOWY NA ROK 1932/33.

Wniesiony do Sejmu preliminarz budżetowy na rok 1932/33 zamyka się kwotą 2.452 miljonów zł. po stronie wydatków i kwotą 2.375 miljonów zł. po stronie dochodów, przewiduje zatem deficyt w wysokości 77 mijonów zł., który będzie pokryty z rezerw skarbowych.

Preliminarz na rok 1932/33 jest odzwierciadleniem ostrego napięcia kryzysowego, jakie przeżywamy *obecnie*. Sytuacja *dzisiejsza* przesądza układ i wysokość pozycyj rozchodowych na ½ — 1½ roku naprzód. Stąd ocena preliminarza musi być nad wyraz powściągliwa i ogólnikowa.

W tym stanie rzeczy, w jakim żyjemy, kiedy nie wiadomo, czy i jak zostaną rozstrzygnięte w skali międzynarodowej najważniejsze problemy gospodarcze (ciężar długów, poziom cen, cyrkulacja złota, bezrobocie etc.), nie można mówić o budżecie, czy jest za skąpy czy też — odwrotnie — zrobiony „na wyrost". To, co Rząd preliminuje na rok 1932/33, odpowiada w zarysie zamknięciom kasowym w okresie kwiecień — wrzesień b. r., które wykazują wydatki w kwocie 1.262 miljonów zł. (a więc nie odczuły jeszcze dwukrotnej zniżki poborów urzędniczych, jak to odczują w okresie październik 1931 r. — marzec 1932 r.). Możnaby na tej podstawie domniemywać, iż budżet Rzeczypospolitej został już zredukowany nieomal do minimum, poniżej którego aparat państwowy zejść nie jest w stanie. To „minimum egzystencji" nie da się określić całkowicie dokładnie, jednakowoż kwota odpowiada takiemu stanowi rzeczy, którego bez gwałtownych przemian strukturalnych usunąć nie sposób.

Zredukowany siłą faktu preliminarz unaocznia sztywność wydatków państwowych. Opierając się na koniecznościach państwowych (wojsko, administracja, policja), umowach (długi zagraniczne) oraz ustawach (pensje, emerytury, długi wewnętrzne), jest on zarazem preliminarzem budżetu *wegetatywnego*. O jakiejkolwiek „piatiletce" nawet... jednorocznej absolutnie mowy być nie może, gdyż program inwestycyjny został zredukowany prawie do zera. Udało się jednakowoż — że tak powiemy — skomercjalizować inwestycje, przerzucając je poza budżet do specjalnych funduszów, jak Drogowy, Wykonania Reformy Rolnej i inne, z których nie wszystkie jeszcze są powołane ustawowo do życia. Fakt tej częściowej komercjalizacji budżetu, aczkolwiek wynikł głównie z momentów konjunkturalno-kasowych, posiada głębsze znaczenie zarówno z punktu zasad skarbowości (z pod bezpośredniego wpływu Ministra Skarbu wymyka się i podatek celowy i jego zużytkowanie), jak i z punktu ekonomicznego (Fundusze mogą szybciej i łatwiej zaciągać pożyczki wewnętrzne i zagraniczne).

Przedłożony Sejmowi preliminarz nosi na sobie brzemię depresji konjunkturalnej, jest sztywny, posiada charakter wegetatywny i t. p., a jednocześnie musi się liczyć z sytuacją materjalną i niewyrobieniem ekonomicznem naszego społeczeństwa, domagającego się ustawicznie pomocy w postaci ulg podatkowych i celnych, kredytów tanich i długoterminowych, subwencyj i t. p. Ponieważ państwo jest w Polsce b. poważnym konsumentem krajowej produkcji, a zarazem zatrudnia wielką armję pracowniczą (urzędników, kolejarzy, pocztowców, nauczycieli etc.), więc każdy skurcz odpowiedniej pozycji wydatkowej spowoduje ujemne skutki dla krajowych warsztatów wytwórczych.

Dyskusja sejmowa nad preliminarzem nie wydaje się w takich warunkach łatwa i wdzięczna. Abstra-

hując od wzajemnych porachunków politycznych i lokalnych, partykularnych, które nie mają nic wspólnego z istotą budżetu, przedstawiciele grup sejmowych będą mieli twardy orzech do zgryzienia. chcąc określić, jaki budżet odpowiada naszym warunkom i potrzebom. Zwolennicy i przeciwnicy budżetu i jego poszczególnych pozycyj zgodzą się zapewne w jednym punkcie, a mianowicie, iż budżet jest tylko upoważnieniem *formalnem*, aktem konstytucyjnym, *faktyczne* natomiast znaczenie budżetu zależeć będzie od Rządu, który go ma wykonywać w zależności od szeregu faktów, jakich istnienia i rozmiarów dzisiaj sprecyzować nie można. W ten sposób upadną wszelkie wątpliwości, czy uwidocznone w budżecie wydatki stanowią *nakaz* wykonania tej czy innej funkcji Państwa w interesie dobra publicznego czy tylko *górną granicę upoważnienia,* udzielonego władzy wykonawczej przez suwerenną władzę ustawodawczą.

O realności budżetu rozstrzygnie strona dochodów skarbowych. W obecnych warunkach, gdzie niespodzianki nigdy nie są wykluczone, stanowi ona wielki znak zapytania. Rząd czyni wszystko, co może, aby zreformować ustawodawstwo podatkowe w sposób, zapewniający lepsze, równomierniejsze wyzyskanie źródeł podatkowych. „Przyciskanie śruby" ma już znaczenie dodatkowe, psychologiczne. Mimo to trudno się pozbyć obaw, czy te wszystkie wysiłki są wystarczające. Powstaje zatem pytanie, czy nie możnaby zastosować ponadto innych środków, mniej — że się tak wyrazimy — mechanicznych. Wydaje się, że takim pożytecznym środkiem byłaby np. emisja *krótkoterminowych* bonów skarbowych w złotych w złocie i to raczej na rynku wewnętrznym z uwagi na panujące tutaj nastroje tezauryzacyjne (złoto), aniżeli na rynku zagranicznym, który powinien być traktowany jako rezerwa na „czarną godzinę".

WASHINGTON

Rozmowy francusko-amerykańskie w Waszyngtonie, które wynikły z inicjatywy Stanów Zjednoczonych, a miały na celu w pierwotnej swej koncepcji wywarcie nacisku na Francję w sprawach przedewszystkiem międzypaństwowych zobowiązań finansowych (rewizja układów odszkodowawczych), zmieniły się w toku ostatnich kilku tygodni w próbę dyskusji między obu państwami na stopie pełnej równości, co, zważywszy na specjalną sytuację, jaka była udziałem Stanów Zjednoczonych w stosunkach międzynarodowych w okresie powojennym, zasługuje na specjalne podkreślenie. Na zmianę wzajemnego ustosunkowania się sił obu kontrahentów wpłynął niewątpliwie fakt zaostrzenia się w ciągu ostatnich tygodni kryzysu finansowego w Stanach Zjednoczonych, a to na skutek załamania się waluty angielskiej i związanej z tem fali powszechnej paniki wśród ludności Stanów Zjednoczonych, która pociągnęła za sobą częściowy „run" na banki. Banki te, zamroziwszy własne kredyty bądź w rolnictwie, bądź w przedsiębiorstwach, które cierpią obecnie na skutek kryzysu, znalazły się w trudnej sytuacji, nie mogąc niejednokrotnie wywiązać się ze swych zobowiązań wobec klijentów, wycofujących wkłady. Wywołało to konieczność specjalnej pomocy dla szeregu instytucyj finansowych (National Credit Corporation), co znowu było interpretowane jako próba inflacji kredytowej w Stanach Zjednoczonych i wywołało silny odpływ lokat zagranicznych z amerykańskiego rynku finansowego, stawiając pod znakiem zapytania utrzymanie parytetu dolara. W tych warunkach próba presji finansowej na Francję w dziedzinie długów i odszkodowań musiała zmienić się po stronie amerykańskiej w chęć porozumienia się z Francją na równej stopie dla uzyskania gwarancyj co do niewycofywania kapitałów francuskich z rynku amerykańskiego, stanowiących tam większość obcych lokat.

Nie mniej jednak zagadnienie długów międzysojuszniczych i odszkodowań wojennych, jako kwestja, wpływająca niewątpliwie niekorzystnie na i tak już zachwianą równowagę w rozdziale kapitałów na kuli ziemskiej, wymaga w obecnym okresie depresji gospodarczej pewnego określonego rozwiązania. Skądinąd jednak łączy się ona w pojęciu polityki Stanów Zjednoczonych nierozerwalnie z kwestją rozbrojenia. Presja, jaką prezydent Hoover zamierzał wywrzeć na premjera Laval'a, tyczyła się właśnie zgody Francji na konkretne rozwiązanie problematu rozbrojenia już na konferencji, zwołanej do Genewy w początku 1932 r., coby Stanom Zjednoczonym umożliwiło redukcję części ich budżetu wojennego i morskiego — a w dalszej konsekwencji ustępstwa w sprawie ich wierzytelności wobec Europy z tytułu długów międzysojuszniczych. Ponieważ jednak teza francuska w sprawie rozbrojenia głosi, iż tylko uprzednie załatwienie sprawy bezpieczeństwa (układ gwarancyjny) może doprowadzić do konkretnych wyników realne próby rozbrojeniowe, więc p. Laval, oparty o swą silną pozycję w sprawie finansowej, o której mówiliśmy poprzednio, próbował w Waszyngtonie skłonić Stany Zjednoczone do zerwania z dotychczasową ich polityką niezainteresowania się czynnego sprawami europejskiemi (datuje się to, jak wiadomo, od czasu odrzucenia przez Waszyngton traktatu wersalskiego) i do udzielenia swej gwarancji dla zabezpieczenia obecnego europejskiego „status quo".

Rezultat rozmów waszyngtońskich jest połowiczny, a mianowicie w dziedzinie finansowej raczej pozytywny, w dziedzinie politycznej — bezwzględnie negatywny. Jeśli chodzi o porozumienie co do niewycofywania kapitałów francuskich z za Oceanu,

projekt układu, przygotowany na kilka dni przed wizytą p. Laval'a w Waszyngtonie w drodze rokowań przedstawicieli Banque de France z Federal Reserve Board'em, został zaakceptowany. Stany Zjednoczone i Francja stwierdziły konieczność utrzymania waluty złotej, kładąc kres pogłoskom o porzuceniu przez dolara parytetu, jednocześnie zaś Francja zabezpieczyła się w sprawach długów i odszkodowań wojennych od wszelkiej ingerencji amerykańskiej, rezerwując dla wszystkich ewentualnych zmian w tej dziedzinie inicjatywę europejską. W dziedzinie politycznej natomiast tradycyjne nastawienie Stanów Zjednoczonych przeciwko wszelkiemu angażowaniu się w sprawy europejskie nie zostało, jak się okazuje, nadszarpnięte dotychczas fatalnemi skutkami kryzysu. Wszelkie próby skłonienia Stanów do wzięcia na siebie jakichkolwiek gwarancyj bezpieczeństwa w stosunku do spraw europejskich spełzły na niczem. Oczywiście równie bezprzedmiotowe były próby amerykańskie skłonienia Francji bądź do zaangażowania się na drogę rozbrojenia bez zapewnienia bezpieczeństwa, bądź — w kierunku jakichkolwiek zmian w obecnem „status quo" na terenie Europy.

W rezultacie więc mimo doraźnego porozumienia w sprawach finansowych wynik porozumienia waszyngtońskiego uznany być musi za negatywny, a to przedewszystkiem z uwagi na niemożność załatwienia dotychczas w porozumieniu z największym organizmem gospodarczym świata, jakim są niewątpliwie Stany Zjednoczone, sprawy odbudowy „zaufania" politycznego ,które, jak wynika ze wszystkich międzynarodowych ekspertyz w zakresie środków zaradczych przeciwko kryzysowi światowemu, stanowi podstawę wszystkich akcyj zaradczych i ich przedwstępny warunek konieczny.

JÓZEF PONIATOWSKI

KONIEC KAPITALIZMU

„Właściwością umysłu ludzkiego jest oceniać każdy przejaw społeczny z jednej strony podług zasady tezy i antytezy, z drugiej podług wiary w nieprzerwalność linji bieżącej".
Prof. Wł. Grabski (Konjunktura, kryzysy i rozwój gospodarczy)

Świat jest zasypywany wzmagającą się liczbą enuncjacyj, zwiastujących nadchodzącą w najbliższym czasie katastrofę ostateczną panującego nam miłościwie systemu kapitalistycznego. Przepowiednie te nie są wprawdzie czemś nowem. Zmienność form ustrojowych jest zjawiskiem powszechnie uznanem i nikt bodaj nie twierdzi, że kapitalizm będzie trwał wiecznie. Całkiem już zdecydowanie przepowiedział mu zagładę w drodze koniecznego procesu rozwojowego autor „Kapitału". Od tego czasu nie ustawały proroctwa kassandrowe przy każdej okazji nowego konfliktu, nowej trudności w rozwoju gospodarczym, nowego pogorszenia konjunktury. Trzeba zaś przyznać, że ostatnie dziesięciolecia nie szczędziły ludzkości konfliktów i załamań. Jednakże doba dzisiejsza przyniosła nietylko ogromny wzrost liczbowy przewidywań końca, ale też i znaczny wzrost ich ciężaru gatunkowego, płynący nietylko ze wzrostu liczbowego. Dopóki augurami katastrofy ustroju gospodarczego świata byli ci, którym zależeć mogło na przybliżeniu tej katastrofy, ci którzy dopiero dzięki niej mogliby zrealizować swoje ideały urządzenia świata, dopóty ich głosami nie przejmowano się zbytnio. Jednakże światowy kryzys ekonomiczny do tego stopnia wyjaskrawił paradoksy istniejącego porządku i spiętrzył takie trudności, że znaczna część jeśli nie ludzi nauki, to jednak poważnych publicystów bynajmniej nie socjalistycznych, polityków wcale nie radykalnych, przyłączyła się do chóru wróżbitów katastrofy. Ba, wszak niedawno byliśmy świadkami wystąpienia wysoko postawionego w hierarchji przedstawiciela duchowieństwa katolickiego, który w głębokiej trosce o byt społeczeństwa przepowiadał nadchodzący kres dotychczasowego ustroju gospodarczego świata. Niektóre enuncjacje i hipotezy nie mówią wyraźnie o likwidacji kapitalizmu, przewidują jedynie bankructwo Europy i Stanów Zjednoczonych, albo ogólnikowo mówią o załamaniu dzisiejszych metod gospodarowania i myślenia gospodarczego. Łącznie jednak wywołują ten sam efekt: nastrój niepewności w społeczeństwie, powszechny upadek zaufania (nie twierdzę, że wymieniona przyczyna działa tu wyłącznie), niechęć do poczynań zakrojonych na dłuższą metę. O ile przytem Marks i jego bezpośredni następcy przewidywali, że system kapitalistyczny przejrzeje i upadnie w nieokreślonej przyszłości, dzisiaj rozpowszechnia się mniemanie, że już obecny kryzys jest bankructwem ustroju, który się więcej nie podniesie.

Gdybyśmy rzeczywiście mieli do czynienia z uwiądem starczym systemu, który się przeżył i za progiem stało zastąpienie go przez inny system, który tymczasem dojrzał, — nie widziałbym powodu rozdzierania szat z tego powodu. System oparty na supremacji martwego kruszcu nad żywą jednostką, związany z wyzyskiem słabszych przez silniejszego, popadający ostatnio w coraz nowe wewnętrzne sprzeczności, ten system mógłby znaleźć sympatyków tylko wśród tych, którzy z kapitału żyją, a tych liczba jest w Polsce znikoma. Nieco inaczej rzecz się jednak przedstawia, gdy zważymy, że tak, czy inaczej, kapitalizm (w szerokim znaczeniu) jest tym systemem, w którym żyjemy, pra-

cujemy i wytwarzamy pewne wartości (nietylko materjalne), jego następca bynajmniej nie wydaje się dojrzały, a niewiadomo, czy wogóle przyszedł już na świat, wreszcie, last not least, upadek kapitalizmu już w najbliższych miesiącach lub latach wydaje się wysoce problematyczny.

Rozumiem, że gdyby panowała w społeczeństwach głęboka i niekwestjonowana wiara w niewzruszoność kapitalizmu, gdyby zagadnienie jego trwałości wogóle nie zostało postawione, wówczas ten, któby pierwszy znalazł choćby kruche podstawy do rewizji dominującego poglądu, miałby wdzięczne zadanie ostrzeżenia przed możliwością wielkich przemian. Skoro jednak to zadanie zostało dawno i aż nadto skutecznie wykonane, dalsze prorokowanie natychmiastowej katastrofy mogłoby być słuszne jedynie w razie znalezienia nowych i dostatecznie silnych argumentów na poparcie tej ryzykownej hipotezy. Argumenty, których nam dotychczas dostarczono, są niedostateczne i nieprzekonywujące. Oświetlają tylko jedną stronę zagadnienia, wyliczając trudności i sprzeczności współczesnego życia. Mnożenie przykładów na tem polu jest zadaniem dziecinnie łatwem, ale też nietrudno wykazać, że wiele z nich wogóle niczego nie dowodzi. Tak np. ulubionym argumentem, mającym przemawiać za tem, że świat już już przewraca koziołka jest fakt, że miljony ludzi głodują i nie są w stanie zaspokoić najpierwotniejszych potrzeb, gdy innym najwyższe trudności sprawia gromadzenie się zapasów dóbr, które mogłyby nasycić potrzeby tamtych, że przytem właśnie nadmiar tych dóbr jest przyczyną wzrastającej nędzy. Otóż to paradoksalne zjawisko nie jest bynajmniej wynalazkiem ostatniej doby, ale stanowi istotę wszystkich kryzysów nadprodukcji, jakie dotąd ludzkość przechodziła. Fakt powtarzania się kryzysów jest oczywistą słabością kapitalizmu, ale na tej zasadzie możnaby mu przepowiedzieć zagładę równie dobrze przed stu laty, jak i obecnie.

Nie może być także dowodem nadchodzącej rzekomo likwidacji systemu wyjątkowa ostrość przebiegu kryzysu i jego nieco odmienny charakter w porównaniu z kryzysami, które przyzwyczailiśmy się uważać za „klasyczne". Z tego powodu mówi się często, że tamto były kryzysy konjunkturalne, obecnie mamy do czynienia z kryzysem strukturalnym, z kryzysem ustroju gospodarczego świata. Ta popularna teza jest wyrazem niejakiego pomieszania pojęć. Ludzie w uproszczeniu przedstawiają sobie, że konjunktura tylko jest czemś zmiennem, pozostającem w ciągłym ruchu falowym, rzekomo regularnym, natomiast struktura jest czemś stałem, co może się zmienić dopiero wskutek katastrofy. W rzeczywistości struktura gospodarcza i w całości i w swych najdrobniejszych elementach ulega nieustannej ewolucji (procesy rozwoju gospodarczego), a falowanie konjunkturalne przebiega na tem zmiennem tle coraz inaczej. W ciągu XIX wieku zmiany strukturalne, pomimo olbrzymich postępów techniki, odbywały się jeszcze o tyle powolnie, że cykle konjunkturalne wykazywały wiele cech wspólnych. Ostatnie dziesięciolecia zmieniły gruntownie strukturę gospodarczą świata, przyczem niesłusznie uważa się tu wojnę światową za naczelną przyczynę. Trudno sobie dziś wyobrazić, jakiego przebiegu zjawisk bylibyśmy świadkami, gdyby nie było wojny. Jedno wydaje się pewne, to że struktura gospodarcza byłaby pomimo to zupełnie odmienna od struktury z przed lat trzydziestu. Zbiega się tu działanie zjawisk ściśle ze sobą związanych: olbrzymie postępy koncentracji gospodarczej i to nietylko po stronie kapitału, ale także po stronie pracy i zdecydowane przejście na drogę paraliżowania wolnej konkurencji, która była wszak głównym, pomimo pewnych ograniczeń, regulatorem procesów gospodarczych w wieku XIX. Sprawne działanie konkurencji wymaga najpełniejszej swobody działania jednostek, tymczasem ten wolnościowy régime stworzył warunki do swobodnego (a później już i mniej swobodnego) wiązania się społeczeństw w organizacje, mające na celu uniknięcię przykrych skutków procesów regulacyjnych, wywoływanych przez konkurencję. Nie potrafiono jednak zastąpić konkurencji, jako regulatora, przez inne narzędzia, równie sprawne i równie wszechstronne. Zdawało się, że lepiej będzie zamiast regulatora, działającego ślepo, postawić celową regulację przez mądre jednostki kierownicze. Jak dotąd, to się nie udało. Im bardziej udoskonalono środki likwidowania drobnych konfliktów, łagodzenia drobnych trudności, tembardziej narastały trudności i konflikty wielkie. Codziennie możemy obserwować, jak celowa polityka społeczna likwiduje, albo odkłada drobne zatargi pracy, jak Liga Narodów albo Trybunał Rozjemczy pozwalają uniknąć zatargu politycznego, jak wzajemna pomoc banków emisyjnych pozwala usunąć widmo niejednego bankructwa. Ale równocześnie wiemy, że dzisiejsze konflikty przybierają gigantyczne rozmiary, wiemy, że gdyby dziś w sercu Europy rozgorzała wojna między dwoma krajami, jak prusko - austrjacka, albo francusko - pruska w ub. stuleciu, pożar musiałby ogarnąć wielką część świata. Odczuwamy wreszcie dotkliwie, czem jest kryzys gospodarczy na tle współczesnej struktury gospodarstwa nawpół-związanego.

To wszystko dowodzi jednak tylko, że kapitalizm współczesny ma poważne wady, o czem zresztą nikt nie wątpił, że być może, znalazł się na mylnej ścieżce, z której będzie musiał zawrócić; nie dowodzi, że kapitalizm się kończy. Na to trzebaby jeszcze stwierdzić, że reforma systemu nie jest możliwa, powtóre zaś i co ważniejsze, trzebaby wskazać następcę. Dotychczasowa historja świata uczy, że zarówno polityczne, jak i gospodarcze ustroje, nawet gdy się zestarzeją i zniedołężnieją, co w danym wypadku nie jest jeszcze dowiedzione, trwają jeszcze czasem bardzo długo, zanim cios ostateczny zada im nowy ustrój, który tymczasem dojrzał. Monarchje utrzymywały się nieraz przez szereg pokoleń niedbałych lub gnuśnych władców, jeśli nie było w społeczeństwach skrystalizowanego dążenia do republiki. Ustroje demokratyczne padały, gdy znalazł się silny i zdecydowany na objęcie władzy despota. Feodalizm, jakkolwiek dawno już utracił swe właściwe znaczenie, wegetował jeszcze przez kilka wieków, aż go obaliła Wielka Rewolucja, ułatwiając rozwój kapitalizmu. Nihilistyczny pogląd, jakoby samo zniszczenie tego, co jest, dawało szansę powstania czegoś lepszego, nie jest oparty na jakichbądź przesłankach objektywnych. Jakże się więc

przedstawia jedyny uznany pretendent do objęcia spadku po kapitaliźmie? Jest nim bezsprzecznie socjalizm, w tej lub innej postaci. Jakkolwiek stracił już wdzięk młodości i wykazuje nawet wyraźnie niektóre cechy starcze, jak rozpadanie się na liczne kierunki, zwalczające się wzajemnie, rosnące rozbieżności między teorją i czynem, tem niemniej trudno byłoby utrzymywać, że dojrzał do roli panowania nad światem. Świadczy o tem przewaga negacji nad pozytywnym programem, brak atrakcyjności i zdolności szerzenia się pozytywnych postulatów, niewiara we własne siły i niechęć realizacji głoszonych haseł wśród znacznej części zwolenników socjalizmu, czego wymowną ilustracją jest fakt, że żaden z gabinetów socjalistycznych północno - zachodniej Europy, nawet rozporządzający większością w parlamencie, nie pokwapił się z zaprowadzeniem w swoim kraju nowego ustroju. Od jedynej na większą skalę osiągniętej realizacji socjalizmu odżegnywują się gorliwie socjaliści wszystkich krajów, czując, że system, w którym zaspokojenie potrzeb materjalnych obywateli znalazło się na ostatnim planie, nie może budzić zachwytu zmaterjalizowanych społeczeństw, skłonnych do szukania przedewszystkiem takiego systemu, który im pozwoli najpełniej potrzeby zaspokoić. Do osłabienia prężności i siły ekspansji socjalizmu przyczyniła się w pewnej mierze i ta okoliczność,, podkreślana przez prasę zachodnio - europejską, że największe bolączki doby dzisiejszej pochodzą z wypaczenia kapitalizmu właśnie przez wchłonięcie sporej liczby elementów właściwych socjalizmowi.

Trudniej rozstrzygnąć, czy możliwa jest reforma kapitalizmu, którąby mu dała siły do dłuższego życia. Nie znamy dotąd poważnej recepty takiej reformy. Powrót do liberalizmu wydaje się bardzo trudny, a jeszcze bodaj trudniejsze byłoby utrzymanie istoty systemu przy dalszem rozwijaniu założeń z tą istotą sprzecznych, założeń gospodarstwa związanego. Tem nie mniej, skoro stoimy wobec potęgi zmiennych czynników dynamicznych, które wciąż przekształcają oblicze kapitalizmu, nie można wyłączać i tej możliwości, że te przekształcenia mogą doprowadzić do formy lepszej i trwalszej od obecnej, a uważam za obojętne, czy taki przekształcony system będzie się jeszcze nazywał kapitalizmem, czy też zostanie nazwany inaczej. Jeżeli natomiast dynamika procesów gospodarczych pójdzie tylko w kierunku wzmagania sprzeczności systemu, wówczas będziemy świadkami jego starzenia się, a równocześnie będziemy świadkami skupiania się energji społecznej w celu przebudowy, której kierunku niepodobna jeszcze dzisiaj przewidzieć. Jedno jest pewne, to że od dojrzałości wspominanych procesów jesteśmy jeszcze daleko, a obecny kryzys nietylko nie przyniesie likwidacji kapitalizmu, ale mógłby się przyczynić do częściowej sanacji stosunków gospodarczych dzięki uwypukleniu wielu błędów i braków, które możnaby usunąć.

Obserwacja prof. Wł. Grabskiego, która posłużyła za motto do niniejszego artykułu, jest użytecznem narzędziem dla wyjaśnienia wielu procesów gospodarczych. Tłumaczy ona również szybkie rozpowszechnienie się koncepcji bliskiej ruiny kapitalizmu. Wiara w nieprzerwalność linji bieżącej nie pozwala przypuścić, że procesy dynamiczne, które napiętrzyły wewnątrz panującego systemu tyle sprzeczności, mogą zmienić kierunek. Nadto w chwili pogarszania się położenia konjunkturalnego utrudnia ona zrozumienie możliwości poprawy. Rozumowanie zaś według zasady tezy i antytezy prowadzi do zbyt dogmatycznego sądu, że upadek kapitalizmu musi oznaczać zastąpienie go przez jakiś system biegunowo przeciwny, pozbawiony prywatnej własności, oparty na zupełnie nowej etyce, i nowem prawie, gdy przecież wydaje się jasne, że te nowe kategorje nie narodzą się nagle i nie staną odrazu powszechną własnością.

Dyskusja na podjęty temat musi się opierać na przesłankach mniej lub więcej dowolnych, nie może więc doprowadzić do konkretnych wyników. Jej znaczenie praktyczne wynika jednak z faktu, że ci, którzy w najlepszej wierze, a często nawet w trosce o sam kapitalizm, wytwarzają atmosferę alarmistyczną, stwarzają nieświadomie niebezpieczeństwo rozwiązania najmniej pożądanego przez wszystkich: upadku gospodarstwa kapitalistycznego przed wyrośnięciem i okrzepnięciem form, któreby je mogły zastąpić, wskutek naprężenia nerwowego i niewiary w możność obrony przed atakami nielicznych, ale zwartych grup, zdążających do anarchji.

W gronie teoretyków można roztrząsać wszelkie możliwości i żaden szerszy pogląd nie może tam być szkodliwy. Ale jednostronne sugestjonowanie szerokiej opinji przez prasę codzienną jest działaniem politycznem , z którego trzeba sobie zdawać sprawę. Koncepcje zaś naprawy tego, co jest wadliwe, przyjdą raczej w atmosferze spokojnego wysiłku, zakrojonego na długą metę, niż w drodze nerwowych poszukiwań ludzi, którzy się codzień spodziewają katastrofy.

Zagadnienie, omówione powyżej, może być rozpatrywane od strony ekonomicznej , politycznej, socjologicznej, filozoficznej, religijnej i t. p. W znacznym stopniu na tok rozumowania wpływają pierwiastki emocjonalne, które powodują powstanie specjalnej atmosfery, o której wspomina autor. I ten czynnik, zwłaszcza z uwagi na jego rozpowszechnienie, musi być brany poważnie pod uwagę. Nie może jednak wystarczyć samo przeświadczenie, iż „stoimy wobec potęgi zmiennych czynników dynamicznych, które wciąż przekształcają oblicze kapitalizmu" — jak mówi autor — aż go zmienią nie do poznania. Musi nastąpić — co również autor podkreśla — wyraźne sprecyzowanie form i treści, zadań i metod nowego, następującego po kapitalizmie, ustroju.
Problem ewolucji kapitalizmu daje się o wiele łatwiej i pewniej sprecyzować w krajach, posiadających wyraźne „oblicze kapitalizmu", aniżeli w Polsce, podlegającej wpływowi kilku naraz tendencyj, nurtujących kapitalizm, i stojącej na kilku jednocześnie stopniach rozwoju gospodarczego.
Te momenty należy mieć na uwadze w dyskusji, którą drukowane wyżej poglądy niewątpliwie wywołają, a dla której otwieramy szpalty naszego pisma (Przyp. Red.).

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

PRZELUDNIENIE i NADPRODUKCJA

(W sprawie ograniczenia liczby urodzin)

Znam ja to dobrze; tak brzmi księga cała.
Straciłem nad nią moc czasu daremnie,
Albowiem sprzeczność doskonała
Dla mędrca i dla głupca brzmi równie tajemnie.

(J. W. Goethe, „Faust")

Kwestja regulowania przyrostu ludności od wieków decydowała się samorzutnie, jako proces społeczno-biologiczny. Odgrywały tu rolę zarówno czynniki ekonomiczne, jak i właściwości psychiczne i żywotność biologiczna narodów i ras. Czynniki te o wielkiej sile, działające całkiem spontanicznie, nigdzie dotychczas nie zostały poddane kierownictwu świadomej woli ludzkiej w skali, obejmującej cały naród lub państwo. Z praktyki wiemy, że walka z ograniczaniem przyrostu ludności we Francji nie daje rezultatów, ale również i propaganda ograniczenia tego przyrostu np. w Chinach lub Indjach również nie da żadnych rezultatów, chociażby prowadził ją człowiek o wielkim sugestywnym wpływie, jak Ghandi, który zresztą poleca środek tak niepopularny, jak wstrzemięźliwość.

Myślę, że milczenie ekonomistów w tej sprawie jest spowodowane nietylko drastycznością tematu sensu stricto oraz obawą przed naganką ze strony pewnego odłamu społeczeństwa, ale również i świadomością, że, jeśli się wypowiada za jakąś sprawą pozytywnie, to oprócz słowa: tak, trzeba również powiedzieć: jak. A na to: jak — odpowiedzi z jakimkolwiek poczuciem odpowiedzialności doprawdy dać nie można.

W publicystyce, poświęconej tej sprawie, używane zwykle bywają dwa określenia czy też propozycje: ograniczenie i regulacja urodzin. Postawmy sprawę jasno: o jakiejkolwiek regulacji mowy być nie może, bo skoro nie możemy regulować jak się należy skartelizowanej produkcji przemysłowej, to proponować regulację urodzin jest zupełnym absurdem. Kwestja: mieć lub nie mieć dzieci, a jeśli mieć — to ile, jest tak osobistą, że jakakolwiek ingerencja w te sprawy czynników publicznych jest wykluczona, przynajmniej narazie i nasze pokolenie napewno do czegoś podobnego nie dożyje, z czego ja osobiście b. się cieszę. Słowo „regulacja" można pojmować przeto jako regulacja wewnątrz rodziny. Jest to sprawa prywatna i nic więc dziwnego, że zajmowali się nią publicyści, traktując ją z punktu widzenia prawa jednostki do stanowienia o swoim losie. Walka o te prawa odbywa się swobodnie, wolność słowa nie jest krępowana, ludzie mówią i piszą, projekt kodeksu karnego uwzględnia tę sprawę z nowego punktu widzenia. Aż dotąd jest wszystko w porządku. Ale szermierze tej sprawy idą dalej i zaczynają żądać, ażeby w tej sprawie zabrało głos państwo, żeby kwestję ograniczenia urodzin zrobić częścią składową polityki państwowej („Przeludnienie, bezrobocie a polityka restrykcji ludnościowej" — St. Rychliński — „Gosp. Nar." Nr. 15).

P. St. Rychliński, apeluje szczególnie do ekonomistów ażeby ustosunkowali się do kwestji ograniczenia liczby urodzin. Piszę: ograniczenia, bo z chwilą gdy zaczynam rozumować w płaszczyźnie społeczno-ekonomicznej, nie mogę z powodów wyżej podanych używać innego określenia. Sama kwestja nie jest jednak natury ekonomicznej — jest ona również polityczna, socjologiczna, etyczna i psychobiologiczna. W myśl apelu postaram się o niej wypowiedzieć.

Przedewszystkiem zaznaczam, że uznaję wszelkie prawa jednostki do urządzania swego losu i zwracam uwagę, że regulacja ściśle przeprowadzona neguje te prawa.

A teraz po długim wstępie ad meritum. Otóż p. Rychliński mówi, że ekonomiści pogardliwie ustosunkowują się do kwestji przeludnienia i dlatego milczą. Ależ nie. Wcale nie dlatego. Milczenie nakazuje nam instynkt samozachowawczy, albowiem, proszę zrozumieć, co grozi naszym mózgom, jeśli zechcemy wytłumaczyć współistnienie takich zjawisk, o których nam sygnalizuje codziennie prasa, jak nadprodukcja i przeludnienie, albo jeszcze gorzej — „klęska urodzaju"? I to, podkreślam, wytłumaczyć *sobie*, gdyż czytającej publiczności zawsze można. Wszyscy dziennikarze całego świata codziennie to robią i jakoś to idzie.

W dalszym ciągu p. St. Rychliński pisze: „przeniosłem zagadnienie w dziedzinę przeludnienia, a więc od strony wytwórczości, na płaszczyznę niezdolności wchłonięcia przez ustrój gospodarczy obecnej rezerwowej armji pracy". Otóż, biorąc rzecz od strony wytwórczości, kiedy nadwyżki płodów rolnych są niszczone z powodu braku zbytu, kiedy składy są zawalone towarami, a fabryki pracują przy 20 — 30%-wem wykorzystaniu swej zdolności produkcyjnej, o przeludnieniu nie można mówić. Co się tyczy niezdolności ustroju... i t. d. to inna sprawa. Z tem się zgadzam. Ale czy wobec tego, że ustrój jest dziełem ludzkiem, nie lepiej jest postawić sprawę jego przekształcenia, tak, żeby mógł w nim być lepiej i pełniej realizowany ów naturalny instynkt i biologiczny cel wszelkiego istnienia na ziemi — rozmnażania się? Słowem, ja twierdzę, że kwestję bezrobocia należy stawiać nie w płaszczyźnie wytwórczości, ale podziału. Dodam jeszcze, że, skoro nauka ekonomiczna uczy o tem jak zaspakajać ludzkie potrzeby, a rozmnażanie się jest bezwzględną potrzebą gatunku homo sapiens, bo osłabienie tego instynktu czy też niemożność jego realizacji grozi zagładą całego gatunku, lub niektórych jego rodzajów, zwanych rasami i narodami, to stwierdze-

nie oficjalnie przez naukę niemożności zorganizowania produkcji i podziału w sposób umożliwiający rozmnażanie się ludzkości byłoby ideowem i praktycznem bankructwem nauki ekonomicznej. To jest jeszcze jedno wytłumaczenie tego, że ekonomiści w sprawie ograniczenia przyrostu ludności zabierają głos nieśmiało i wstydliwie, zwłaszcza, o ile nie chcą wystąpić z krytyką obecnego systemu podziału dóbr. Mówię o podziale, bo sądzę, że z organizacją produkcji ustrój kapitalistyczny daje sobie dobrze radę, a czynnikiem hamującym wytwórczość jest przedewszystkiem pieniądz.

Co zaś do korzyści, jakie miałyby bezpośrednio wypłynąć z ograniczenia liczby urodzin, to nie są one tak b. pewne. Jeżeli mała liczba dzieci ułatwia kapitalizację, to z drugiej strony zmniejsza ona pęd ku kapitalizacji, bo dla kogóż ma się oszczędzać i składać pieniądze? Zmniejszenie się liczebności rodzin zmniejszy „konsumcyjność" budżetów rodzinnych, przesunie wydatki na stronę wyrobów przemysłowych, a więc uaktywni przemysł. Ale przecież jako przyczynę kryzysu podaje się niskie ceny produktów rolnych, więc co będzie, jak się zmniejszy popyt na nie? Byłoby mniej dzieci na utrzymaniu pracujących? Tak, ale i więcej emerytów. Wreszcie niewiadomo, czy tempo rozwoju gospodarczego nie dostosowałoby się do tempa wzrostu ludności i wszelkie proporcje i dysproporcje pozostałyby w rezultacie te same. Nie, stanowczo, dopóki nie są opanowane i poddane świadomemu kierownictwu procesy gospodarcze, nie można mówić o opanowaniu procesów demograficznych.

Teraz strona społeczna zagadnienia. Propaganda za ograniczeniem urodzin obejmuje miasta i trafia przedewszystkiem do inteligencji. Na wieś polską. czy też ukraińską lub białoruską na Kresach ona nie prędko trafi. Będziemy więc mieli w najbliższej przyszłości zanik klasy dziedzicznej inteligencji, co niechybnie doprowadzi do pewnego obniżenia poziomu kultury duchowej. Chyba, że ktoś nie ma zaufania do wartości tej inteligenckiej kultury. Jest to też pogląd, który niewątpliwie ma swoje racje, ale w pełni nie może być przyjęty przez ludzi nieuprzedzonych. Pozatem społeczeństwa o zredukowanej liczbie młodzieży są bardziej konserwatywne, ergo ludzie postępowi, propagujący ograniczanie potomstwa, podcinają korzenie postępu w przyszłości. Jeżeli zaś chodzi o zdrowotność i tężyznę fizyczną oraz uzdolnienia duchowe rasy, to trzeba zwrócić uwagę na fakt, że organizm kobiety ćwiczy się w rodzeniu dzieci i że pierwsze dzieci są w przeważającej liczbie wypadków mniej udatne od następnych. To też ograniczenie się do niewielkiej liczby dzieci ogranicza selekcję uzdolnień i właściwości fizycznych.

O znaczeniu politycznem trudno mówić wobec rozbrzmiewania haseł pacyfistycznych, ale myślę, że każdemu człowiekowi oraz każdemu narodowi wolno mieć instynkt samozachowawczy. Instynkt zaś ten nakazuje zwrócić uwagę na fakt, że za naszą wschodnią granicą hasła neo-maltuzjańskie nie tylko nie są propagowane, ale są wręcz zwalczane i wydrwiwane, jako przejaw degeneracji kultury burżuazyjnej lub próba obrony interesów wielkiego ziemiaństwa przed koniecznością parcelacji majątków. Dopóki instytucja wojny nie została skasowana, to czy polityk może bez troski spoglądać na gwałtowny przyrost ludności w sąsiednim kraju, który przez długi ciąg wieków był naszym częstym partnerem w rozgrywkach wojennych, a równocześnie propagować ograniczenie urodzin u siebie?

Pan Rychliński mówi, że „staje się mocną u nas demografja włoska w której z właściwą faszyzmowi rzetelną troską społeczną tak łacno się splata płycizna haseł naszego imperjalizmu". Słusznie, że te hasła są płytkie, ale Włochy w przeciągu kilkudziesięciu lat niepodległego istnienia miały czas wytworzyć cały system myślowy i filozoficzny, który obecnie faszyzm realizuje, my zaś na to nie mieliśmy czasu. Ale czy wobec tego sama istota imperjalizmu włoskiego jest rzeczywiście czemś innem, niż istota imperjalizmu polskiego i czy rzeczywiście tylko dlatego, że nie potrafiliśmy dotychczas tego należycie uzasadnić, nasze prawo do życia i ekspansji jest faktycznie mniejsze i gorsze, niż to samo prawo innych narodów o starszej kulturze państwowej? Dopóki istnieje na ziemi walka o byt między ludźmi, to każdy kto chce żyć, musi wyznawać zasadę, że lepiej jest bić, niż być bitym, lepiej zjeść, niż być zjedzonym. Inaczej zginie. Dlatego zadaniem polskiej myśli ekonomicznej i politycznej nie może być kwestja realizacji ograniczenia liczby urodzin. Można się z tym faktem przejściowym godzić jako ze złem koniecznem, ale jako ze złem.

Z tego oczywiście nie wynika, że należy potępiać jednostki ograniczające ilość swego potomstwa z powodu warunków ekonomicznych. Jest to prawo jednostki, zwłaszcza, jeżeli wynika z jednostkowego instynktu samozachowawczego, który się przeciwstawia instynktowi samozachowawczemu gatunku (narodu). Ale nie żądajcie od ekonomistów naukowego uzasadnienia tej konieczności w skali narodowej, albowiem, powtarzam, jest to sprzeczne z celem nauki ekonomicznej, która powinna dążyć do stosowania warunków umożliwiających wzrost ludności, co nie przeszkadza temu, że sprawa: mieć lub nie mieć dzieci — jest i musi zostać sprawą prywatną, w której państwo nie powinno jednostki krępować. Fakt, że dzisiejsza sytuacja gospodarcza nie stwarza możliwości wychowywania większej ilości dzieci, w zupełności usprawiedliwia abstynencję małżeństw w tym względzie i szerzenie odpowiedniej propagandy oraz udzielanie pouczeń. Ale nie należy traktować jako kanon postępu społecznego zjawiska, które wynikło właśnie z ograniczonych możliwości postępu i rozwoju gospodarczego.

Zagadnieniom populacyjnym, dla których w dalszym ciągu otwieramy szpalty naszego pisma, poświęciliśmy w Nr. 15 „Gospodarki Narodowej" artykuł p. Stanisława Rychlińskiego p. t. „Przeludnienie, bezrobocie a polityka restrykcji ludnościowej". Zwracamy również uwagę na artykuł p. Józefa Poniatowskiego p. t. „Polska rolnicza czy przemysłowa", umieszczony w Nr. 8 „Gospodarki", w którym to artykule autor porusza m. in. problem przeludnienia wsi polskiej i wypowiada się ubocznie przeciwko reglamentacji przyrostu ludności. Zagadnienie populacyjne oświetla od strony państwowej polityki budżetowej p. Mieczysław Rek w artykule „Problem rodziny w polityce gospodarczej", zamieszczonym w Nr. 10 — 11 „Gospodarki Narodowej".

U W A G I

PROJEKTY POLITYCZNO-HANDLOWE.

Od pewnego czasu prasa codzienna zaczęła obwiniać polską politykę handlową o... bezczynność. Normalne rozumowanie krytyków polega na zestawieniu dwuch zasadniczych faktów: spadku ilościowego i wartościowego naszego wywozu oraz niezawierania przez nas dotychczas traktatów preferencyjnych, których istotnie, jak wiemy, namnożyło się ostatnio w Europie dosyć dużo. Z połączenia obu tych elementów wysnuwa się wniosek: polityka handlowa Polski jest... bezczynna.

Zagadnienie nie jest bynajmniej takie proste, jakby się wydawało napozór. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, iż traktaty preferencyjne, zawarte w Europie środkowej, *dotychczas* interesów naszych nie uderzyły, gdyż... nie weszły jeszcze w życie. Chwilowo więc spadek naszego wywozu nie może być zapisany na to właśnie konto. Natomiast niewątpliwym faktem jest, iż podstawową przyczyną spadku wywozu jest protekcjonizm rolny trzech państw Europy środkowej t. j. Niemiec, Austrji i Czechosłowacji, stanowiących do niedawna rynek zbytu na 58% wartości całego naszego wywozu. Obecnie — przy zmniejszonych cyfrach wywozu ogólnego — lokujemy na tych trzech rynkach tylko 33,4% naszego wywozu. Daje to miarę naszych strat. Zachodzi pytanie, jak temu stanowi rzeczy zaradzić?

Z Niemcami sytuacja jest jasna. Tylko wejście w życie umowy marcowej 1930 r. może ruszyć z miejsca obecne stosunki handlowe obu krajów między sobą. Dopóki to nie następuje, na „froncie" tym musimy pozostać w defenzywie. Wywóz do Niemiec od nas stale się kurczy i niema widoków na poprawę. Jedyną zatem (i niezbyt skomplikowaną) działalnością naszej polityki handlowej w stosunku do Niemiec musi być odpowiednie krępowanie przywozu niemieckiego dla wyrównania strat, wynikających z wojny celnej. Dotychczas nie było to robione zbyt gorliwie, ale zdaje się, iż ma się zamiar przeoczenie naprawić.

Drugiem państwem, dokąd wywozimy obecnie znacznie mniej towarów niż w latach poprzednich, jest Czechosłowacja. Tutaj sytuacja jest dość trudna. Wygaśnięcie w r. ub. węgiersko-czechosłowackiego traktatu handlowego, na podstawie którego korzystaliśmy w drodze klauzuli największego uprzywilejowania ze zniżek, jakie w dziedzinie celnej były udzielane przez Czechosłowację Węgrom, podcięło szereg naszych możliwości wywozowych do Czechosłowacji. W tych warunkach, jakkolwiek formalnie równowaga traktatu naszego z państwem tem nie została naruszona, to jednak faktycznie zmieniło się dla nas jego działanie w sensie wyraźnie niekorzystnym. Próba wyrównania stosunków w drodze rokowań bezpośrednich nie dała w r. b. żadnych rezultatów. Dla Czechosłowacji stosunki z Polską, dopóki nie działa na naszym rynku jej główny konkurent — Niemcy, są w stosunku do jej problematów polityczno-handlowych z Austrją, Węgrami czy nawet Jugosławja mało ważne. Energiczne postawienie sprawy z naszej strony napotyka na szkopuł nieuregulowanych naszych stosunków z Niemcami i zagadnienia komunikacji z rynkami zachodnio-europejskiemi.

Dlatego też w obu wspomnianych wypadkach nie może, naszem zdaniem, istnieć w tej chwili żaden aktywny projekt polityczno-handlowy. Trzeba poprostu odczekać rozwój wypadków na arenie politycznej świata, od czego w znacznej mierze zależy rozwiązanie sytuacji na obu tych odcinkach (traktat z Niemcami jako problemat „odprężenia" stosunków politycznych w Europie).

Nieco inaczej przedstawia się sprawa wobec Austrji. Teoretycznie biorąc, zmiany, jakie zaszły w austrjackiej polityce handlowej w ciągu ostatnich miesięcy (traktaty preferencyjne z Węgrami i Jugosławią wraz z ogólną zwyżką ceł), wymagają uregulowania stosunków z rynkiem austrjackim w sposób bardziej szczegółowy niż dotychczas (posiadamy z Austrją zwykły traktat, oparty o klauzulę największego uprzywilejowania bez specjalnych zniżek konwencyjnych). Sprawa ta ma zresztą i jeszcze inne oblicze — zagadnienie międzynarodowej pomocy polityczno-handlowej dla Austrji (preferencje dla austrjackiego wywozu), w które to ramy nasz ewentualny układ z Austrją mógłby z łatwością wejść. Ostatnio jednak ograniczenia dewizowe austrjackie w stosunku do Polski zmieniają wszystko, przesuwając cały ciężar rokowań na kwestje finansowe. Czy w ten sposób uda się pogłębić realnie stosunki wymienne pomiędzy obu krajami, pozostaje chwilowo zupełnie niewiadome.

Poza temi trzema państwami środkowo-europejskiemi istnieje druga grupa państw, do której wywoziliśmy swego czasu ok. 20% ogólnego naszego wywozu, obecnie zaś wywozimy nawet więcej. Jest to wolnohandlowa grupa państw północnych — Dania, Wielka Brytanja, Holandja, Szwecja i Norwegja. Tutaj dążeniem naszem winno być tylko utrzymanie przez wspomniane państwa status quo w ich ochronie celnej, która nie krępuje nas zupełnie. Konkretnie najwięcej niebezpieczeństw pod tym względem przedstawia Wielka Brytanja ze swemi projektami wprowadzenia taryfy celnej, jakkolwiek wątpliwe jest, aby zostało wprowadzone istotnie wysokie cło na produkty żywnościowe, których właśnie my jesteśmy poważnymi dostarczycielami. Zagadnienie rynku angielskiego dotychczas naskutek spadku funta jak i nieświadomości co do polityki celnej Anglji w przyszłości musi być uważane za pozostające w zawieszeniu. Natomiast nie da się zaprzeczyć, iż spadek waluty angielskiej utrudnił znacznie naszą ekspansję handlową nietylko do Anglji (bekony i t. d.), ale i na inne rynki północne (węgiel do Skandynawji). Tutaj jednak, oczywiście, środki zaradcze nie są do znalezienia poza zarządzeniami autonomicznemi.

Pozostaje cały szereg innych rynków, gdzie wywóz nasz został w ostatnich czasach dotknięty protekcjonistycznemi zarządzeniami poszczególnych państw, i gdzie nasuwają się konieczności reagowania. Tak np. wywóz do Francji, który wzrastał stale (zarówno w cyfrach bezwzględnych i względnych), dotknięty został niemal śmiertelnie najpierw przez szereg podwyżek celnych na produkty rolne, a na-

stępnie — przez wprowadzone w ciągu trzech miesięcy zakazy przywozu na węgiel, drzewo (razem 51% wartości całego naszego wywozu do Francji) oraz produkty zwierzęce. Reglamentacja węgla na Węgrzech, dotykająca trzon naszego wywozu do tego państwa, wymaga również rozmów, jakkolwiek tam — nawzór Austrji — ograniczenia dewizowe, wprowadzone ostatnio, grają w trudnościach naszych główną rolę. Na terenie Rumunji biją nas specjalne zarządzenia, skierowane przeciwko naszemu przywozowi włókienniczemu (wigonie), co również niewątpliwie nadaje się do wyrównania w drodze negocjacyj. Szereg umów, zabezpieczających rozwój naszych interesów na rynkach zamorskich (Brazylja, Kanada i t. d.), powinien być w najbliższych miesiącach zawarty. Nie sposób nie posiadać z bardzo znacznemi elementami gospodarki światowej wiecznie i bez przyczyny stanu beztraktatowego.

Tak więc widzimy z tego, iż wbrew ewentualnym przypuszczeniom rokowania handlowe, jakie ewentualnie będziemy prowadzić w ciągu najbliższych miesięcy, nie są bynajmniej tem, o czem myśli szerszy ogół, a mianowicie — staraniem się o powrót na rynki środkowo-europejskie, stanowiące ongiś główny nasz obszar zbytu. Wprost odwrotnie — z wyjątkiem jednej tylko, może, Austrji — obecna sytuacja nasza w stosunku do tych państw przypomina niemal impas, uniemożliwiający wszelkie posunięcia aktywne z naszej strony. Natomiast niewątpliwie zadaniem naszej polityki handlowej jest w obecnym okresie „podanie ręki" ponad głowami trzech naszych najbliższych sąsiadów zachodnich innym państwom europejskim i pozaeuropejskim, udzielając im wzamian za koncesje, jakichby były skłonne udzielić nam one — odpowiednich przywilejów na naszym rynku z wyłączeniem korzystania z tych przywilejów państw, krępujących naszą ekspansję handlową.

C. I.

DZIEŃ OSZCZĘDNOŚCI.

Przypadające na 31 października b. r. doroczne „Święto Oszczędności" nasuwa szereg myśli w związku z zagadnieniem kapitalizacji wewnętrznej w Polsce. Jest to niewątpliwie temat nudny i, o ile się nie posiada talentu Kornela Makuszyńskiego, który w dowcipny sposób umiał sobie z tym tematem poradzić rok temu w „Tygodniku Ilustrowanym", nie powinno się właściwie o nim mówić i pisać. Nie odstrasza nas to jednak od skreślenia poniżej kilku luźnych uwag, ujętych bez pretensji wyczerpania kwestji.

Kapitalizacja wewnętrzna w Polsce — mierzona sumą wkładów w instytucjach kredytowych — powoli lecz stale wzrasta. Wszelkiego typu wkłady (bezterminowe, żyrowe, czekowe, á vista, terminowe i oszczędnościowe oraz salda rachunków bieżących), nie obejmujące zatem lokat w papierach wartościowych (akcjach, obligacjach, pożyczkach państwowych), jak również przymusowej kapitalizacji poprzez instytucje wzajemności publicznej (zakłady ubezpieczeń prywatne i społeczne), rosną w sposób następujący:

31 grudnia	1926 r.	1.193	milj.	zł.
31	„ 1929 r.	2.756	„	„
31	„ 1930 r.	2.999	„	„
31 czerwca	1931 r.	2.920	„	„

Wkłady oszczędnościowe (a więc oszczędności sensu stricto) wynosiły, jak poniżej:

31. XII. 1926 r.	221	milj.	zł.	19%
31. XII. 1929 r.	1.018	„	„	37%
31. XII. 1930 r.	1.264	„	„	42%
30. VI. 1931 r.	1.386	„	„	47%

Niema dwóch zdań, że tempo kapitalizacji wewnętrznej w Polsce jest dosyć żywe. Nie możemy jednak z drugiej strony zapominać, że zarówno globalna suma oszczędności, jak i przeciętna (na jednego mieszkańca) kwota tychże utrzymuje Polskę na szarym końcu państw europejskich [1]). A przecież tylko powszechność i masowość, tylko wielka liczba oszczędzających mogą wykazać danemu państwu świadectwo gospodarczości, zapobiegliwości i uświadomienia społeczno - ekonomicznego.

Czynnikami, hamującemi rozwój kapitalizacji w Polsce, są: mała rentowność warsztatów pracy, wysoka stopa opodatkowania, słaby dopływ kapitałów zagranicznych, niezdrowe tendencje „kapitalizacyjne" i — nakoniec — niechęć do oszczędzania. Nie można natomiast zaprzeczyć, iż czynniki oficjalne starają się wzmóc kapitalizację, stosując takie metody, jak: zachowanie tajemnicy wkładów bankowych, skasowanie podatku od kapitałów rent, kontrola płynności funduszów bankowych, popieranie rozbudowy sieci składnic i zbornic oszczędnościowych etc.

Słabość naszej kapitalizacji jest w dużym stopniu związana z nieznajomością form i celów oszczędzania. Pomimo kryzysu żyjemy niejednokrotnie „nad stan"; mamy aspiracje ludności zachodnio - europejskiej, ale dochody niewiele co większe niż je ma ludność na wschodzie Europy. Nieekonomiczne obchodzenie się z pracą i kapitałem utrudnia powstawanie nadwyżek, dających się kapitalizować. Społeczeństwo niedostatecznie uświadamia sobie powagę sytuacji, nie zawsze potrafi stosować zasady przewidującej gospodarki, a przysłowie „według stawu grobla", wbrew pozorom krajoznawczym, mało ma wspólnego z polską rzeczywistością. Nieodpowiednie gospodarowanie pieniądzem w okresie prosperacji ekonomicznej i to zarówno jednostek, jak i ciał zbiorowych, w niemałym stopniu spotęgowało kryzys, jaki przeżywamy obecnie pospołu z innemi krajami.

Panuje u nas mniemanie, że nie należy oszczędzać, bo to grozi przerodzeniem się w skąpstwo, lecz — przeciwnie — należy konsumować. Ale konsumcja konsumcji nie równa i nie każdy proces spożywania przyczynia się do narastania dochodu społecznego. Okres saski — „jedz, pij i popuszczaj pasa"— nie zasłynął w dziejach Polski, jako okres tworzenia się bogactwa narodowego w skali, poprzednio i następnie niedoścignionej.

Dużą rolę w narastaniu kapitałów i umiejętnem ich wykorzystaniu powinny odgrywać instytucje pieniężno - kredytowe. Pewna część winy tego, iż setki miljonów złotych przepadają w skrytkach i do obiegu z zasady nie wchodzą, spada na te właśnie instytucje. Szeroki ogół jest słabo o nich poinformowany, nie odróżnia instytucji złej od dobrej, przez

———

[1]) Dzieje się to niewątpliwie dlatego, że oszczędności swe składa w instytucjach, do tego powołanych, b. nieznaczny odłam ludności.

co zdarzają się takie tragikomiczne historje, że po upadku Banku Handlowego w Łodzi, publiczność, kierując się brzmieniem firmy, urządziła run na jeden z najsilniejszych banków w Polsce — Bank Handlowy w Warszawie. Skoro mówimy o bankach, pozwolimy sobie zacytować pracę p. B. Friedigera p. t. „Bankowość prywatna w Polsce w dobie przesilenia“ (Kraków 1931 r., nakładem Polskiej Akademji Umiejętności). Czytamy tam m. in.: „Banki nie dbają, by u nas, jak np. na Zachodzie, prasa codzienna omawiała stale na swych łamach wielkie poczynania banków, oczywiście krytycznie, czy też ich zamknięcia bilansowe roczne. Nie troszczą się one o oswojenie człowieka z ulicy z formą i treścią bilansu bankowego, nie uczą go one odczytywania tegoż bilansu i zrozumienia. Również, trwając na przedawnionem, przedwojennem stanowisku, unikają banki trwożliwie działalności, werbującej klijentów, a nawet i reklamy, przez co oczywiście rozumiemy reklamę, pozostającą ściśle w granicach prawdziwych faktów i cyfr. A przecie błędność tej bierności tej inercji zrozumiały nawet wyznające niegdyś podobne zasady banki niemieckie“.

Powyższy zarzut rozciągnąć się da również i na większość spółdzielni kredytowych, zwłaszcza, że zbyt wiele budują one na pomocy Rządu, a zbyt mało na samopomocy. Możnaby ponadto zauważyć, iż banki, spółdzielnie i komunalne kasy oszczędności toczą nieraz z sobą zbędne a kosztowne walki, zamiast się porozumieć i zyskać nowe, a nie ciągle te same grupy wkładców. Na brak syndykatu międzybankowego, gwarantującego pewność wkładów, zwraca uwagę wspomniany wyżej p. Friediger.

Kwestji kapitalizacji wewnętrznej w Polsce nie rozwiąże jeden efektowny pomysł, np. zniesienie Kas Chorych. Tu musi być uruchomiony szereg mechanizmów, działających energicznie i sprawnie i muszą być usprawnione dziedziny akcji zarówno w zakresie psychologicznym, jak i czysto technicznym.

z. ι.

TRZECIA STRONA MEDALU.

P. Tadeusz Panek, zastanawiając się w artykule p. t. „Kompresja budżetu“ w Nr. 2 „Gospodarki“ nad możliwościami odciążenia społeczeństwa, dochodzi do wniosku, że wobec nieelastyczności budżetu państwowego, właściwem źródłem oszczędności mogą być dziś jedynie budżety samorządów i zakładów ubezpieczeniowych, gdzie gospodarka prowadzona jest rozrzutnie i bez dostatecznej kontroli. Daje bardzo prostą receptę: przelać ustawowo część wpływów samorządu do kas skarbowych. To symplicystyczne ujęcie znalazło reakcję w N-rze 15 „Gospodarki Narodowej“, gdzie p. Włodzimierz Sochacki w artykule p. t. „Druga strona medalu“ wykazuje: 1) niesłuszność przeciwstawiania budżetów samorządowych budżetowi państwowemu, ponieważ przez powierzenie z tych czy innych względów pewnych zadań samarządom „nie odebrano danym zagadnieniom ich państwowego znaczenia“; 2) brak winy samorządów w rozdymaniu budżetów, narzucanem przez władze administracyjne, albo przez obowiązujące ustawy; 3) katastrofalne skutki, jakie musiałoby spowodować proste obcięcie budżetów samorządowych przy pozostawieniu samorządom obecnych zadań. Czytelnik po przeczytaniu na pierwszej stronie medalu, że nie da się nie oszczędzić w budżecie Państwa, a na drugiej, że równie beznadziejne jest szukanie oszczędności w samorządzie, zwiesi po tej dyskusji nos na kwintę. Pamiętając jednak, iż medal jest ciałem trzywymiarowem, spróbujmy poszukać, czy na trzeciej , tej wąskiej jego stronie, nie znajdziemy jeszcze czegoś, niedopowiedzianego w dyskusji.

To niedopowiedzenie wynika stąd, że replika p. Sochackiego zajmuje się zbyt wyłącznie argumentacją i sposobem rozumowania artykułu p. Panka, pozostawiając niemal na uboczu samo zagadnienie osiągnięcia oszczędności, które wydaje mi się tu najważniejsze. Nadto obaj autorzy niedostatecznie oddzielili cele bliskie, doraźne, od celów dalszych. trwałych. P. Panek wprawdzie już w podtytule mówi o trwałych posunięciach, ale dalej motywuje swój negatywny stosunek do redukcyj urzędników tem, że w obecnych warunkach nie mogliby znaleźć zatrudnienia, a więc trudnością wybitnie doraźną. Zapomina przytem, że poważniejsze oszczędności w samorządzie również musiałyby być połączone z dużemi redukcjami personelu, pociągnęłyby więc za sobą te same skutki ujemne.

Dopóki mowa o oszczędności doraźnej, podczas kryzysu, zgadzam się najzupełniej z p. Sochackim, że można ją dziś osiągnąć tylko przez eliminowanie „tych czy inych zadań czy akcyj, niezależnie od tego, kto je prowadzi, a zależnie od ich absolutnej wagi“. To stanowisko nie wyłącza jednak wcale twierdzenia, że wśród zadań, wykonywanych przez organy centralne administracji państwowej niemal nic już nie da się poddać ze względu na „absolutną wagę“ operacjom chirurgicznym, natomiast wśród zadań, zleconych samorządom lub zakładom ubezpieczeń, możnaby jeszcze pewnych cięć dokonać, jakkolwiek nie bez bólu. Nie jest to winą samorządów, chyba o tyle, że nie umiały się bronić, ale należy przyznać, że warunki takiej obrony nie są z reguły łatwe. Poprostu centrale ministerstw, pozostając pod silnym naciskiem globalnego redukowania budżetu, były zmuszone wyrzec się już wszystkich zadań, które im się nie wydają absolutnie niezbędne. Samorządy są w niemniej trudnem położeniu, ale mogą zredukować tylko własną inicjatywę, co już naogół zostało dokonane. Nikt natomiast nie czuje się zmuszony do redukowania tych zadań, które wykonywane są z jego polecenia, ale nie z jego budżetu, tylko z budżetu samorządu. Stąd budżety samorządowe wykazują tak małą elastyczność. Przekraczałoby ramy niniejszych uwag zastanowienie się nad tem, które z zadań, zleconych samorządom, mogłyby być, wobec trudności chwili, przejściowo skomprymowane i na jak długo. Wystarczy wskazać, że np. w dziedzinie statystyki możnaby osiągnąć dość pokaźne wyniki bez jakiejkolwiek straty dla naszej wiedzy o tem, co się w kraju dzieje, przez skreślenie tych raportów, które są przesyłane na mocy przestarzałych rozporządzeń, a z których obecnie nikt wogóle nie korzysta. Do tego specjalnego zagadnienia jeszcze w przyszłości powrócę. W dziedzinie ubezpieczeniowej istotna oszczędność, bez ryzyka, jakiem zagrażałoby niedostateczne gromadzenie rezerw i abstrahując narazie

od prowadzenia polityki konjunkturalnej[1]) możnaby uzyskać doraźnie tylko przez redukcję świadczeń. Znowu decyzja zapaść tu powinna na zasadzie rozumowania: co ważniejsze. Czy np. bardziej bolesna jest konieczność redukcji takiej lub innej liczby nauczycieli, albo zatrzymanie pracy naukowych placówek badawczych, czy też utrzymanie w ubezpieczeniu od chorób zasady tak pełnego odszkodowania, by ubezpieczony miał żal do losu, jeśli mu nie ześle w ciągu roku ani choroby, ani pożaru? Rozumiem, że dałem przykład wyjaskrawiony przez uproszczenie i dlatego wstrzymuję się z daniem recepty na odpowiedź, sądzę jednak, że twierdzenie, jakoby w tej dziedzinie nic nie można było osiągnąć jest również uproszczonem i nie mniej niebezpiecznem.

W dziedzinie oszczędności trwałych sądzę, odmiennie, niż pp. Panek i Sochacki, że sporo da się z czasem zrobić i w budżecie państwowym i w budżetach samorządowych i w budżetach zakładów ubezpieczeń. Tu otwiera się wielkie pole usprawnienia i uproszczenia administracji. Dokonanie tą drogą oszczędności nawet w budżecie wojskowym (niemało już ich tam dokonano) jest dopuszczalne, bo nie zmniejsza siły obronnej Państwa. Parę konkretnych przykładów przytoczył już p. wicemin. Starzyński w odczycie, na który powołuje się p. Panek (kasowanie zbyt drobnych powiatów, łączenie prac wykonywanych równolegle przez organy państwowe i samorządowe). Dodałbym do tego z pewnością nieobcą p. Sochackiemu dziedzinę przepisów rachunkowości komunalnej. Znam gminy, gdzie nie 2 — 3, ale 7 — 8 pracowników pracuje z wytężeniem po 10 — 12 godzin dziennie, z czego najmniej połowa nad buchalterją, której złożonych arkanów nie są w stanie zrozumieć. Są, jak to p. Sochacki zaznacza, licho i nieregularnie płatni i niewątpliwie nie wśród nich należy szukać winy tego stanu rzeczy, w których hektar użytków rolnych jest obciążony na rzecz gminy i państwowego sejmiku w wysokości *pięciokrotnie* przewyższającej państwowy podatek gruntowy. Ale czy stąd wynika, że w istniejącym stanie rzeczy niema nic do zrobienia?

j. p.

[1]) Problem polityki konjunkturalnej w zakładach ubezpieczeń był poruszony przez pp. Bolesława Wścieklicę i Henryka Niewskiego w N-rze 2 i 4 „Gospodarki Narodowej".

MIECZYSŁAW SMEREK

NIEPOROZUMIENIA NA TEMAT BILANSU HANDLOWEGO I PŁATNICZEGO

Konieczność równowagi gospodarstwa narodowego, a zwłaszcza zatrudnienia przyrostu naturalnego, wymaga w Polsce dopływu kapitałów zagranicznych.

Opinja publiczna w Polsce żywo interesuje się każdem zagadnieniem, mającem charakter międzynarodowy a dotyczącem Polski. Zjawiska, występujące w stosunkach Polski z zagranicą, interpretuje się przytem w sposób nieraz bardzo dowolny, bez zrozumienia przyczyn, które wywołały te zjawiska. W zakresie stosunków gospodarczych pomieszanie pojęć naszej opinji publicznej bodajże najdobitniej ujawnia się przy omawianiu zagadnień bilansu handlowego i płatniczego. Korzystny obrót zjawisk gospodarczych ocenia się jako szkodliwy i napada się za nie na kierowników polityki gospodarczej. Odwrotnie, zjawisk niekorzystnych opinja publiczna bądź nie zauważa, i wówczas je przemilcza, bądź podnosi je do rozmiarów klęski, i wówczas kierownikom polityki gospodarczej nie szczędzi zarzutów.

Za przykład pomieszania pojęć w zakresie bilansów handlowego i płatniczego może posłużyć artykuł posła Stanisława Rymara, opublikowany w „Gazecie Warszawskiej" z dnia 4-go października b. r. pod tytułem „Zależność finansowa Polski od zagranicy". Całość artykułu, za wyjątkiem paru zdań o charakterze tendencyj politycznych, ujęta jest bardzo rzeczowo, a mimoto zawiera szereg mylnych wniosków. Takie same błędne wnioski spotyka się zresztą u wielu innych publicystów gospodarczych, nie wdających się w głębszą analizę zjawisk gospodarczych. Za punkt wyjścia krytyki mógłbym wziąć również artukuł innego autora, wybrałem jednak artykuł p. Rymara, ponieważ jest on w tej chwili ostatnim tego rodzaju artykułem.

Na podstawie wydawnictw statystycznych p. Rymar powtórzył wyniki obliczeń obrotów płatniczych Polski za lata 1927 — 1929, (potocznie niesłusznie nazwanych bilansami płatniczemi, ponieważ bilans oznacza zestawienie zobowiązań i wierzytelności na pewien dzień, podczas gdy obroty płatnicze zawierają sumy tranzakcyj, zawartych w pewnym okresie). Tablica ta w skróceniu przedstawia się następująco (w miljonach złotych):

(zob. tablicę na str. 236)

Pierwszy wniosek wyciągnięty na podstawie powyższego zestawienia brzmi: „Bilans płatniczy Polski był w latach 1928 i 1929 zrównoważony". Wynikałoby z tego, że obrót płatniczy za rok 1927 był niezrównoważony. W rzeczywistości tak nie jest, ponieważ obrót płatniczy nie może być niezrównoważony; saldo ostateczne obrotu płatniczego jest niczem więcej, jak saldem błędów statystycznych, do których statystyka przyznaje się, tak, jak każdy szanujący się człowiek przyznaje się do znanych mu błędów. Błędy te są ujawniane w każdem obliczeniu, polskiem i zagrani-

POZYCJE OBROTU PŁATNICZEGO	1927				1928				1929			
	Przychód	Rozchód	Saldo		Przychód	Rozchód	Saldo		Przychód	Rozchód	Saldo	
			Przychód	Rozchód			Przychód	Rozchód			Przychód	Rozchód
OGÓŁEM	4705	4930	—	225	5162	5156	6	—	5339	5345	—	6
A. OBRÓT BIEŻĄCY.	3169	3899	—	730	3265	4369	—	1104	3696	4296	—	600
1. obrót towarowy	2553	3253	—	700	2485	3580	—	1095	2705	3248	—	543
w tem złoto	6	253	—	247	0	107	—	107	1	82	—	81
2. Usługi, emigracja, turystyka, dywidendy, procenty i t. p.	616	646	—	30	780	789	—	9	991	1048	—	57
B. OBRÓT KAPITAŁOWY	1536	1031	505	—	1897	787	1110	—	1643	1049	594	—
1. Kredyty krótkoterminowe	922	935	—	13	1570	679	891	—	1399	847	552	—
2. Kredyty długoterminowe	614	96	518	—	327	108	219	—	244	202	42	—

cznem, z powodu niemożliwości rozwinięcia techniki statystycznej do takiej dokładności, jaką może się odznaczać księgowość. Wyciąganie więc wniosków na zasadzie salda ogólnego jest zupełnie niewłaściwe.

Drugi wniosek wyciągnięty na podstawie powyższych cyfr brzmi: „Deficyt handlowy pokryła Polska z powodzeniem zaciąganiem pożyczek krótkoterminowych i długoterminowych". W ten spsób sformułowany wniosek zawiera większe nieporozumienie, niż pierwszy, dotyczący salda obrotu płatniczego. Nieporozumienie to potęguje się jeszcze w innem zdaniu, a mianowicie: „pieniądze pożyczone zagranicą, miejsca u nas nie zagrzały — odrazu odpłynęły znowu zagranicę". Nieporozumienie to polega na niezrozumieniu istoty dopływającego do kraju kapitału zagranicznego. Na czem polega przypływ kapitału zagranicznego? Jeżeli kredyt jest udzielony w towarach, to wiadomo, że Polska otrzymuje towary, za które zamiast płacić odrazu, zapłaci kiedyś w przyszłości, a tymczasem wystawia weksle, obligacje, czasem akcje lub inne tytuły zobowiązań, względnie własności. Ale jak wygląda kredyt otrzymany w gotówce? Za gotówkę w stosunkach międzynarodowych uważa się postawienie pewnej sumy w walucie zagranicznej do dyspozycji dłużnika. Pieniądz przedstawia wartość tylko wtedy, gdy można zań dostać dobra realne, służące do jakiegoś użytku. Pieniądzem w stosunkach międzynarodowych jest więc upoważnienie wierzyciela udzielone dłużnikowi do kupienia odpowiedniej ilości towarów. Dłużnik może nie skorzystać z tego upoważnienia, wówczas od sumy pozostającej zagranicą otrzymuje pewien procent, ale procent płacony wierzycielowi jest zawsze wyższy od procentu otrzymywanego od wkładu. Zresztą dłużnik nigdy nie pożycza pieniędzy, jeżeli nie ma zamiaru kupić zań potrzebnych mu towarów. Skutek więc otrzymania gotówkowego kredytu zagranicznego jest taki, że dłużnik za sumę kredytu nabywa zagraniczne towary. Jeżeli dłużnik chce nabyć towary krajowe, to wówczas, płacąc za nie dewizami, przenosi na innego siłę nabywczą na towary zagraniczne. Jeżeli natomiast dłużnik odstąpił otrzymany kapitał zagraniczny bankowi emisyjnemu, otrzymuje walutę krajową, a bank emisyjny z otrzymanych dewiz może zrobić trojaki użytek: albo odda je chcącemu nabyć towary zagraniczne, albo sam zakupi złoto, które nie jest niczem więcej, jak tylko towarem, albo zatrzyma je na rachunkach w bankach zagranicznych, emitując na tej podstawie odpowiednią ilość własnych banknotów. Ten ostatni wypadek jest analogiczny z udzieleniem kredytu bankom zagranicznym. Jak więc widzimy, we wszystkich omówionych wypadkach pieniądz zagraniczny „miejsca nie zagrzewa", odpływa on albo za sprowadzone towary, albo w postaci kredytu udzielonego bankom zagranicznym. Suma otrzymanego kredytu zagranicznego w pierwszym wypadku równoważy się z sumą rozchodu za sprowadzane towary, a w drugim wypadku z sumą kapitałów pozostawionych zagranicą. Oczywiście, mówiąc o otrzymanych kapitałach zagranicznych, względnie o kapitałach odstąpionych zagranicy, należy zaliczyć do nich oprócz kredytów również sumy należne za usługi, za przekazy emigrantów, za procenty i prowizje i t. p. Po obliczeniu tak pojętego przypływu kapitałów, skonstatujemy, że saldo tego przypływu pokrywa się z saldem rozchodu z tytułu przywozu towarów. Różnice, jakie statystyka wykazuje między temi dwoma saldami, jest wynikiem niedokładności statystycznych.

Ujemne saldo handlu zagranicznego w ciągu trzech lat 1927 — 1929 zawdzięcza Polska przewyżce dopływu kapitałów zagranicznych z tytułu kredytów, usług, przekazów emigracyjnych i t. p., nad analogicznemi wypłatami. Z chwilą gdy w roku 1930 dopływ nowych kapitałów ustał, ale nie ustał obowiązek spłacania pożyczek dawniej zaciągniętych (raty amortyzacyjne) i procentów od pożyczonych kapitałów, wówczas nastąpiło kurczenie się przywozu towarów zagranicznych, a powstałą stąd przewyżką wywozu nad przywozem Polska pokryła swe zagraniczne zobowiązania. Inny sposób płacenia zagranicą, jak tylko towarem użytkowym lub złotem, nie istnieje. Obrót płatniczy wykazuje wówczas zjawisko odpływu kapitałów oraz dodatnie saldo handlu zagranicznego, które, przy dokładnych obliczeniach, powinny pokryć się wzajemnie. Pieniądz w stosunkach wewnętrznych, zastępuje tylko wymianę naturalną towaru za towar.

Z powyższych wywodów widzimy, że nie „deficyt handlowy pokrywa Polska z powodzeniem, zaciąganiem pożyczek krótko terminowych i długoterminowych", ale owe pożyczki pozwoliły Polsce na sprowadzenie więcej towarów, aniżeli sama wywiozła. Odnośnie roku 1930 opracowanie bilansu

płatniczego nie zostało jeszcze ukończne i trudno wyrazić liczbowo ruch kapitałów. Ale dodatnie saldo handlu zagranicznego każe nam przypuszczać, że w roku tym wypłaty kapitałowe z tytułu amortyzacji i procentów wyniosły więcej, aniżeli wynosił przypływ nowych kapitałów z tytułu kredytów, usług i t. p. W wypadku tym powiemy, że z powodu odpływu kapitałów Polska wywiozła towarów więcej aniżeli przywiozła.

Trwające od dwóch lat dodatnie saldo handlu zagranicznego nie daje powodów do radości, podobnie jak trwające przez parę lat poprzednich saldo ujemne nie dawało powodów do obaw. Saldo dodatnie wskazuje, że nasz organizm gospodarczy potrafił dostosować się zmienionego obrotu kapitałowego i pokryć nadwyżkę wypłat kapitałowych towarami. Gdyby Polska nie potrafiła pokryć nadwyżki wypłat kapitałowych towarami, wówczas musiałaby je pokryć rezerwą towarową, jaką stanowi złoto, zdeponowane w banku emisyjnym, i towary zagraniczne, reprezentowane przez zapas dewiz. Płacenie rezerwami może zmniejszyć pokrycie obiegu banknotów wypuszczanych przez bank emisyjny i tem samem spowodować zniżkę kursu waluty. Opisany wypadek płacenia rezerwami ma miejsce w Anglji, Niemczech i Stanach Zjednoczonych, przyczem w tym pierwszym kraju przekroczył dopuszczalną granicę i spowodował spadek ceny funta szterlinga. Polski organizm gospodarczy skurczył spożycie towarów zagranicznych do tego stopnia, że wywóż towarów krajowych wystarcza na pokrycie płatności zagranicznych bez zbytniego naruszenia rezerw, jakiemi są złoto i dewizy w Banku Polskim. Dzięki temu zacieśnieniu pasa, spokojnie przechodzimy kryzysy walutowe mimo, że według p, Rymara „nie mamy tłuszczu na przetrwanie" takiego, jak Niemcy i Anglja.

Celem wyjaśnienia znaczenia dla Polski dodatniego i ujemnego obrotu towarowego z zagranicą, odstąpimy na chwilę od rozważań nad bilansem płatniczym i zajmiemy się znaczeniem kapitału zagranicznego na tle wewnętrznych stosunków gospodarczych.

Przy końcu swego artykułu p. Rymar wyliczył szereg pożyczek, jakie Polska ostatnio zakontraktowała, a mianowicie pożyczkę szwecką zapałczaną, francuską na budowę linji Śląsk — Gdynia, amerykańską na dostawę wagonów za pośrednictwem Lilpopa, włoską na budowę dróg asfaltowych, angielską na budowę 6 mostów i t. d., nazywając je krótko pożyczkami „parszywemi", z powodu jakoby niekorzystnych warunków. Nie mam zamiaru bronić tych pożyczek przed tak arbitralnemi określeniami. Opinje tego rodzajnu są wynikiem zapatrywań politycznych i *nie mają nic wspólnego z naukowo-gospodarczem ujmowaniem tematu.* Chodzi mi tylko o wyjaśnienie roli kapitałów zagranicznych w Polsce. Jeżeli odpowiemy sobie na to pytanie, wówczas nie będziemy tak łatwo potępiali napływającego do nas kapitału, zwłaszcza długoterminowego.

Gospodarstwo narodawe nazywamy zrównoważonem, jeżeli cztery czynniki produkcji: przyroda, praca (materjał ludzki), kapitał i inteligencja, (kapitał umysłowy) są odpowiednio do siebie ustosunkowane. Polska jest krajem, w którym dysproporcja między pracą i kapitałem jest uderzająca. Z jednej strony mamy nadmiar ludzi, częściowo lub całkowicie bezrobotnych, i znaczny przyrost naturalny, a z drugiej strony brak nam kapitału, który umożliwiłby stworzenie warstatów pracy w ilości odpowiedniej do zatrudnienia bezrobotnych. Brakujący kapitał możnaby tworzyć drogą kapitalizacji wewnętrznej przez ograniczenie spożycia na rzecz oszczędności. W naszych warunkach droga ta jednak nie wróży prędkiego nagromadzenia odpowiedniej ilości kapitałów. Z powodu braku warstatów pracy, duża część ludności, bądź nie zarabia, bądź zarabia niewiele, skutkiem czego dochód społeczny wypracowany przez pracujących, obliczony na głowę wszystkiej ludności, jest niewielki. Za dużą liczbą urodzeń idzie duża liczba niezarobkującej młodzieży, która wraz z bezrobotnymi w wieku wytwórczym zjada tyle dochodu społecznego pracującej części ludności, że niewiele pozostaje na kapitalizację. Wprawdzie kapitalizacja wewnętrzna mimo to postępuje, ale jej tempo jest zbyt powolne, aby mogła w krótkim czasie posłużyć do wydatnego powiększenia warstatów pracy. Niedostatek kapitału krajowego może zastąpić kapitał zagraniczny. Pierwszem więc zadaniem kapitału zagranicznego jest tworzenie nowych warstatów pracy. Rolę tę spełnia przedewszystkiem kapitał długoterminowy, ale i kapitał krótkoterminowy odgrywa pewną rolę w tworzeniu warstatów, a głównie w ich utrzymaniu.

Nie neguję zasady, że pożyczki gotówkowe są korzystniejsze, niż pożyczki otrzymane w towarach, ponieważ te pierwsze dają swobodę w dysponowaniu kapitałem, ale jeżeli uzmysłowimy sobie, że kredyt gotówkowy również powoduje zwiększenie przywozu towarów zagranicznych, to przestaniemy potępiać pożyczki ostatnio zakontraktowane jako szkodliwe z tego jedynie powodu, że pewna ich część ma być zrealizowana w towarach. Dzięki pomnożeniu warstatów pracy zwiększy się liczba pracujących oraz zwiększy się dochód społeczny, z którego większa część będzie mogła być zużyta na kapitalizację wewnętrzną. Zasada pożyteczności dopływu kapitału zagranicznego do Polski nie budzi wątpliwości u nikogo. Chodzi tylko o to, aby kapitał ten istotnie tworzył nowe warstaty lub usługi i aby możliwie największa część dochodu przez ten kapitał wypracowanego pozostawała w Polsce w postaci zarobków robotniczych, świadczeń socjalnych, podatków i t. p. Oczywiście, kapitałowi zagranicznemu musi być pozostawiona odpowiednia część dochodu, gdyż w przeciwnym razie kapitał ten nietylko przestanie przypływać, ale zacznie odpływać. Im więcej kraj posiada niezużytkowanych czynników produkcji, bez względu na to, czy to będzie praca, przyroda, czy inteligencja, tem więcej potrzebuje obcego kapitału i na tem cięższych musi przyjmować go warunkach. Określenie, czy dany kredyt nie jest opłacany zbyt wielkim ciężarem, jest opinją subjektywną. Rzeczowa ocena będzie możliwa dopiero po ujawnieniu się skutków gospodarczych, co nastąpić może nie wcześniej, aż po paru latach. Odnośnie pożyczek, zakontraktowanych przez Polskę w ostatnich miesiącach, narazie zauważyć można tylko tyle, że żaden z krajów europejskich, przeważnie o strukturze rolniczej, w tym samym czasie nie otrzymał takiej ilości kredytów. Polityka

selekcji i regulowania dopływu kapitałów zagranicznych jest niezbędna, ale sam fakt ich przypływania jest w obecnych warunkach polskich korzystny.

Streszczając, podkreślam, że dopływ kapitałów zagranicznych jest dla Polski korzystny i niezbędny, wobec czego należy mu dać bezpieczeństwo i stosunkowo wysoką marżę dochodów (przynajmniej w okresie jego przypływania), ponieważ sprawa zatrudnienia olbrzymiego przyrostu naturalnego tego wymaga. W związku z tem, nie należy obawiać się ujemnego salda handlowego, które jest związane z przypływem kapitałów: Zjawisko ujemnego salda handlu zagranicznego prawdopodobnie ujawni się, gdy tylko większość zakontraktowanych pożyczek będzie zrealizowana i jeżeli ich suma nie będzie niższa od sum wypłacanych zagranicą.

Trwające obecnie dodatnie saldo handlu zagranicznego, jest wprawdzie wynikiem ujemnych obrotów kapitałowych, ale zarazem świadczy o elastyczności naszego gospodarstwa, umiejącego dostosować się do złych warunków.

NOTATKI

DOLARY I ZŁOTO.

Kiedy zachwiał się funt angielski, waluta, uznawana (słusznie czy niesłusznie) za niewzruszoną, posiadaczy obcych walut ogarnęła panika. Nie była to jednak panika, jakich wiele w sferach płochliwych spekulantów. Jej podłoże było głębsze: spadek kursu funta mógł być uważany za objaw trudności najpotężniejszych organizmów gospodarczych i za wyraz wadliwej struktury ich aparatu pieniężno- kredytowego. Interesujący się bliżej zagadnieniami pieniężnemi finansiści i — spekulanci mieli pewne racje, zaostrzając swą uwagę wobec dolara, gdyż stosunek krótkoterminowych zobowiązań do krótkoterminowych wierzytelności nie stoi w Stanach Zjednoczonych na poziomie całkowicie nie budzącym obaw. Być może, coprawda, iż alarmujący artykuł w „Le Populaire" miał na celu dopomóc Lavalowi w jego konferencjach z Hooverem — tem nie mniej europejscy posiadacze banknotów dolarowych poczuli niemiłe dreszcze. Te przesłanki rozumowe pospołu z przesłankami czysto emocjonalnemi wywarły b. silny wpływ na naszych finansistów i — spekulantów, wywołując mocny refleks w kołach szerokiej publiczności, od lat wielu interesującej się dolarem.

Rezultatem powyższego była masowa podaż banknotów dolarowych, co umożliwiło Bankowi Polskiemu skupienie po niskim stosunkowo kursie dolarów, które przed paroma miesiącami sprzedawało się przepłacającej je publiczności. Rzecz prosta, na tego rodzaju operacjach tracili posiadacze dolarów, ale wszakże zyskiwał Bank Polski, zwłaszcza, że mógł on poprawić swoje zapasy walutowo-dewizowe, a tem samem pokrycie złotego, ewentualnie nawet zwiększyć (coprawda nieznacznie) emisję banknotów. Zdawałoby się, iż tego rodzaju uruchamianiu zamrożonych rezerw prywatnych i wydobywaniu na jaw stezauryzowanych dolarów należało raczej przyklasnąć i dopomóc.

Tymczasem część prasy, jakgdyby „na złość" drugiej części, która nie ukrywała trudności, stojących przed dolarem, uznała zamianę dolarów na złote za szkodliwą dla polskiego gospodarstwa narodowego. Ten dziwny punkt widzenia tłomaczy się obawą, iż posiadacze waluty dolarowej wymienią ją na ruble i przedmioty złote, na co istotnie wskazuje wygórowany i niczem nieuzasadniony kurs złotych rubli rosyjskich. Zdawałoby się, iż każdy, kto się sceptycznie wyraża o dolarze, jest agentem sprzedawcy rubli i kosztowności, że ma prowizję od spekulantów i jubilerów, albo że sam jest w tych tranzakcjach osobiście zainteresowany.

Powyższym rozumowaniom, których głębszego sensu — przyznajemy się — nie pojmujemy, przyszedł z pomocą — jakiej bynajmniej nie przewidywaliśmy — czynnik oficjalny. Okazuje się, że Ministerstwo Skarbu wywiera na banki prywatne nacisk (równający się zresztą nakazowi), aby nie kupowały one zagranicą złota. Stanowisko to jest zupełnie niezrozumiałe, bo jakże: publiczność wymienia dolary na złoto, którego brak, więc przepłaca je na „czarnej giełdzie", natomiast legalnie działającym instytucjom bankowym nie wolno alimentować rynku złotem, wzmagać jego podaży i obniżyć jego ceny. Czy Ministerstwo sądzi, iż w ten sposób zniechęci polskich kapitalistów do lokowania swych oszczędności w złocie czyli do tezauryzowania części kapitału społecznego? Na czem wobec tego polegała wyższość tezauryzacji w banknotach dolarowych, również przechowywanych w skrytkach i wyjętych z obiegu? Dolary od złota różniły się tylko tem, że pierwsze tezauryzowała przeważnie Małopolska Wschodnia i chłopi w Kongresówce, drugie zaś — w postaci rubli — Kresy Wschodnie. I dolary i ruble zmniejszały nasz kapitał obrotowy, a do obiegu wracały tylko wówczas, gdy chłop nabywał kawałek ziemi lub przeprowadzał działy. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że ta masowa tezauryzacja pieniądza (obojętne, w jakiej walucie wyrażonego) prędzej czy później się skończy i pieniądz ten stopniowo zasili życie gospodarcze, poprzez banki, kasy, spółdzielnie i papiery wartościowe wchodząc do obrotu. Czy zatem wskazane jest, skoro się powstrzymuje posiadacza stezauryzowanych dolarów od wymiany na złoto w rublach, sztabach lub przedmiotach przeciwdziałać temu procesowi w instytucji pośredniczącej — banku?

k. b.

ROLNICTWO I EKSPOTROWE ZWIĄZKI FACHOWE.

Od końca 1928 r. obserwujemy silny prąd tworzenia branżowych organizacyj dla eksportu rolniczego. Prąd ten korzysta z wydatnej pomocy rządu, który bądź drogą prohibicji wywozu niezorganizowanego (cła wywozowe), bądź premij (t. zw. zwroty ceł) dla wywozu zorganizowanego stwarza przy-

mus organizacyjny. Z takich lub innych form opieki państwowej korzystają Związki Eksporterów zboża, bekonów, trzody i bydła, drobiu, koni, wędlin. Poparciem polityki celnej cieszy się również wywóz masła, jaj, lnu, pierza, szczeciny, szynek.

Zdrowe, chociaż nie można powiedzieć żeby spontaniczne, dążenie do organizowania eksportu posiada niewątpliwą doniosłość dla całego życia gospodarczego, a w szczególności dla rolnictwa. Stąd powstaje poważne i niełatwe zagadnienie stosunku rolnika - producenta do powstających organizacyj handlu wywozowego. Formą udziału producentów w procesach wymiany jest spółdzielczość rolnicza. Spółdzielnie są fachowemi placówkami gospodarczemi, mogą więc oczywiście brać udział i biorą udział w organizacjach eksportowych. Rozumiejąc potrzeby producenta, a jednocześnie istotę i charakter procesów wymiennych, spółdzielnie winny być kitem łączącym interesy rolnictwa i handlu, względnie przemysłu. W miarę pożądanego i popieranego przez Państwo rozrostu spółdzielczości rolnictwo może zwiększać tą drogą swój wpływ na organizacje eksportowe.

Niestety, rolnictwo poszło inną drogą. Spółdzielczy handel rolniczy i spółdzielcze przetwórstwo rolnicze nie rozwijają się, natomiast zamiast organów fachowych rolnictwo bierze udział w związkach eksportowych przez swe naczelne organizacje o charakterze społecznym, reprezentujące interesy ogólne rolnictwa jako gałęzi produkcji i jako grupy społecznej. Udział bezpośrednich naczelnych organizacyj rolniczych we władzach fachowych organizacyj eksportowych bywa stawiany za warunek udzielenia danemu związkowi eksportowemu poparcia państwowego. Ten stan rzeczy jest nielogiczny i powoduje ujemne następstwa dla obu stron.

Organizacje eksportowe tracą swój właściwy charakter gospodarczy, tracą również na fachowości, natomiast organizacje rolnicze, przyjmując na siebie współodpowiedzialność za funkcjonowanie związków fachowych tracą zdolność ich kontrolowania i krytyki, mającej niewątpliwe znaczenie dla rolnictwa, skoro kolizje między interesami produkcji i handlu lub przemysłu nie dadzą się całkowicie usunąć. Muszą pokrywać wobec rolników nawet te posunięcia, które są sprzeczne z interesami rolnictwa, co też obserwujemy w praktyce.

Uboczną konsekwencją ujemną tego stanu rzeczy jest redukcja wpływu organizacyj spółdzielczych. Skoro bowiem są obecni przedstawiciele ogromnych organizacyj społecznych, uważani, słusznie czy niesłusznie za reprezentantów całego rolnictwa, oni z natury rzeczy wypowiadają się w imieniu całego społeczeństwa. Przedstawiciele spółdzielni znajdują się w trudnem położeniu i nie mogą wywrzeć tego wpływu, jakiby im się należał ze względu na fachowość i możność harmonizowania obu grup interesów. Wydaje się więc, że rolnictwo weszło na najłatwiejszą, ale błędną drogę: jego reprezentanci niefachowi w fachowych związkach są piątem kołem u wozu, natomiast spółdzielczość nie rozwija się dostatecznie i w ważnych dziedzinach eksportu rolniczego jest nieobecna.

Ubocznie nasuwa się refleksja, że organizacje fachowe przetwórców i eksporterów płodów rolnych winnyby może także zainteresować się w wyższym stopniu stanem produkcji rolnej, a może i wywierać na nią pewien wpływ. Mielibyśmy wówczas zainteresowanie obustronne i wpływy wzajemne, przyczem jednak każda gałęź ponosiłaby za swe posunięcia wyłączną odpowiedzialność, bez mieszania zadań i kompetencyj.

t. g.

SPRAWA „EKONOMISTY".

W 1925 roku święcił „Ekonomista, — kwartalnik poświęcony nauce i potrzebom życia" swoje chlubne dwudziestopięciolecie; od tego czasu upłynęło sześć lat borykania się z trudnościami finansowemi, pokonywanemi jednak szczęśliwie choć z dużym trudem. Rok 1931 zapowiada się b. słabo: ma być wydany jeden zeszyt. Co dalej — niewiadomo.

Jest rzeczą zrozumiałą, że zmiany konjunkturalne, kurczenie siły nabywczej wyznaczać muszą nowe układy elementów. Licytowany z powodu zbytniego obdłużenia majątek ziemski, zamykana z powodu zbyt wysokich kosztów produkcji fabryka, upadłość z powodu zbyt niskich obrotów firmy handlowej, są to przejawy złej sytuacji gospodarczej jako bolesnego zjawiska ogólnego, same zaś poszczególne fakty noszą charakter logiczny i w danych warunkach najbardziej słuszny: ginie najprzód warsztat mający najmniejszą siłę gospodarczą.

Inaczej jest, gdy w grę wchodzą t. zw. imponderabilia. Istota wartości pisma naukowego nie polega na porównaniu dochodu ze sprzedaży z kosztami własnemi. To też szczególnie bolesnem zjawiskiem jest, gdy o prawie egzystencji myśli zaczyna decydować pieniądz, gdy trzeba porównywać to co jest nieporównywalne.

Przez 20 lat „Ekonomista" był prowadzony środkami jednostki — Prof. Stefana Dziewulskiego, k poprzez ofiarność swoją jako wydawca i pracę twórczą jako redaktor umożliwiał krzewienie się polskiej myśli ekonomicznej na łamach naówczas jedynego czasopisma naukowego poświęconego sprawom gospodarczym. W latach 1927 — 31 „Ekonomista" redagowany przez Prof. Edwarda Lipińskiego służył w dalszym ciągu twórczo sprawie krzewienia nauki, będąc wydawany przez specjalnie w tym celu powstałą spółdzielnię. W dzisiejszej trudnej dla „Ekonomisty" sytuacji należy szukać dróg wyjścia. Sądzimy, iż finansowanie „Ekonomisty" oprzeć należy poprzez możliwie największe rozszerzenie grona współdziałających naukowo i finansowo z kwartalnikiem. Wydaje się nam, że pożytecznem w tej dziedzinie byłoby nadanie „Ekonomiście" nietylko charakteru organu T-wa Ekonomistów i Statystyków Polskich, lecz również charakteru pisma wyższych uczelni Warszawy.

Sądzimy, że redakcja „Ekonomisty" w najbliższych dniach poda do publicznej wiadomości plan akcji i wzywamy naszych czytelników do przyłączenia się do niej.

p. g.

REDAKTOR PRZYJMUJE WE WTORKI I PIĄTKI OD 17 DO 18.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: CHMIELNA 23 M. 6 TEL. 221-05. KONTO CZEKOWE P. K. O. 25.6 6

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE

240

Druk. „Stołeczna". Wolska 16. Tel. 88-67.